

KROKODYLOWI DAJ MNIE, LUBY

Kazimierz Dorczyk

Teatr Nowy w Poznaniu: CROCODYLIA, CZYLI COŚ NIESAMOWITEGO Eugeniusza Korina, na motywach nie dokończonego opowiadania Fiodora Dostojewskiego *Krokodyl*. Reżyseria: Eugeniusz Korin, scenografia: Paweł Dobrzycki, kostiumy: Irena Biegańska, muzyka: Jerzy Satanowski. Premiera 13 XI 1998.

Połowę sceny zajmują dwa zwaliste, burobrazowe filary, zwieńczone, każdy z osobna, ni to gzymsem, ni to pinnaklem; resztę wypełniają brudnozielone kurtyнки i także roślinność. Przygnębiający ten *entourage* jest ledwie tłem dla stylowego powozu, który stoi pośrodku proscenium lśniąc świeżym lakierem. Poddajemy się tej z lekka niepokojącej aurze, którą bardziej niż mroczna scenografia zasugerował nam chyba nieco dziwny tytuł sztuki *Crocodylia, czyli coś niesamowitego*; poddajemy się z nadzieją, że może wreszcie ktoś skutecznie nas postraszy?

Kiedy zaczyna się przedstawienie, wszystko, co mogło się ruszać - ruszyło; zwaliste filary pofrunęły do góry, kurtyнки odsłaniały i zastaniały jakieś wnętrza, zawirowała obrotówka, kolebiąc się i kręcąc odjechała w głąb sceny paradna dorożka, uwożąc wskakujących do niej w biegu pasażerów. Ten pełen wigoru początek szybko ustępuje miejsca niespiesznej rzeczywistości świata lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku, i to świata zaludnionego przez rosyjskich urzędników ostatniej kategorii. Jednego z nich połyka krokodyl, nie bacząc, iż ten wyjechać miał właśnie za granicę. Okropne to nieszczęście ma jednak drugie dno: oto urzędnik, choć połknięty przez gada, ma się jednak dobrze. I z tym właśnie problemem przyszło się zmierzyć bohaterom sztuki Eugeniusza Korina, opartej "na motywach nie dokończonego opowiadania Fiodora Dostojewskiego *Krokodyl*".

Anegdota, rozbudowana w dość schematyczną obyczajową opowieść, sumiennie ilustruje mocno przez Dostojewskiego atakowaną filozofię "rozumnego egoizmu", za której czołowego propagatora uchodził Nikołaj Czernyszewski. Z incydentalnego przypadku urzędnika wszyscy starają się wyciągnąć jak największe korzyści; tak więc Żona (Grażyna Korin) w intencji przyścia z pomocą Mężowi (Aleksander Machalica) przychylnie przyjmuje i prezenty, i osobę zabiegającego o jej względy ekscelencji, Sama (Mariusz Sabiniewicz). Przyjaciół (Mariusz Puchalski), nie mogąc już liczyć na to samo (a liczył), pospiesznie informuje Męża o niepomysłnym obrocie spraw, Niemiec (właściciel krokodyla) wylicza coraz to bardziej zawrotne sumy, jakie po-

winna mu przynieść tryumfalna podróż po Europie z żywym urzędnikiem w brzuchu krokodyla. I tylko on jeden, w końcu tytułowy bohater, nic nie zyska, bowiem osoby, które łyka, niestrawne jakieś i ponad miarę gadatliwe. Bo, dodajmy, w gadzich trzewiach znajdzie się w finale połowa obsady tej sztuki.

Tu czas już rozważyć, co może dziś wynikać z tak szczątkowej demonstracji etyki utylitarnej? Dostojewski najskuteczniej rozprawił się z jej wykrzywioną przez Czernyszewskiego postacią w *Notatkach z podziemia* i nie o wznawianie tych zamierzchłych sporów mogło chodzić Korinowi. Więc o co? O wyśmianie dzisiejszych zwolenników idei okcydentalnej? Ależ to zdecydowana większość społeczeństwa i z wielkim trudem przysłoby mi wyobrazić sobie, jak nas wszystkich ten biedny krokodyl łyka, zaś jeszcze trudniej byłoby przystać na to, że rację mieli ci nie połknięci: ekscelencja Sam, totumfacki Stary i dwaj policmajstrzy. Że będą kłopoty z wyeksplikowaniem sensu tej krokodylodramy, musiało chodzić po głowie komuś, kto układał program, bo znajdujemy w nim prawdziwie postmodernistyczną ofertę wszystkich możliwych znaczeń krokodylej symboliki. Tyle że gołym okiem widać, iż nasz krokodyl jakiś nadto dosłowny, rzekłbym, bagienny, i ani mu przez myśl nie przejdą owe egipskie, ezoteryczne wspaniałości.

Crocodylię ogląda się z zainteresowaniem do połowy, później masowe rzucanie się w krokodylą paszczę zaczyna budzić nie tylko wątpliwości interpretacyjne, ale i znużenie nieuniknione w trzeciej godzinie trwania spektaklu. O aktorstwie Mariusza Sabiniewicza, Jerzego Stasiuka czy Grażyny Korin w niektórych scenach myślimy z wielkim uznaniem, by za chwilę żyć się na niczym nie umotywowany przeskok "od Czechowa do Gogola" - mówiąc wielkim skrótem. Konwencja realistycznego dramatu z nadrealistycznym dodatkiem w postaci krokodyla-ludojada wprawia w zakłopotanie właściwie wszystkich. Jedni ratują się z opresji różnego rodzaju cytataми, jak np. Mariusz Sabiniewicz i Grażyna Korin repliką słynnej sceny jedzenia kurczaka z *Toma Jonesa*, inni próbują stawić czoła scenicznej rzeczywistości bez podpórek i padają, jak Krystyna Feldman w roli Mutter, co zdumiało publiczność prasowej premiery bardziej niż wszystkie efekty specjalne razem wzięte.

Kiedy nadziei na skuteczne postraszenie nie ma już żadnej, pozostaje tylko domysł, jak ten podsłyszany w foyer, że dramaturg i reżyser w jednej osobie bardzo serio potraktował stare Fredrowskie żądanie "Krokodyla daj mi, luby". Wyszło niestety, jak w tytule - na opak.